CZASOPISMO TECHNICZNE A
WYDAWNICTWO POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ

z. 2-A/2007
ISSN 0011-4561
ISSN 1897-6271

MAŁGORZATA MIZIA*

MIESZKAĆ, ŻEBY PRZEŻYĆ

TO LIVE TO SURVIVE

S t r e s z c z e n i e

Wielu z nas mieszkanie w mieście utożsamia z życiem w mieście.
Zamieszkiwanie oznacza najczęściej posiadanie mieszkania, często też wynajmowanie czy tylko użytkowanie niedużej, wyposażonej w najpotrzebniejsze stałe sprzęty przestrzeni przyłączonej do mediów miejskiej infrastruktury. Zawsze jest to rodzaj usługi dla mieszkańca. Te wszystkie usługi są wystandaryzowane, skategoryzowane, wycenione i ekonomizowane, a ostatecznie wystawione na sprzedaż, do wynajęcia lub tylko „doładowania". Płacisz – żyjesz, nie masz za co – możesz odejść. Sprawiedliwie, demokratycznie, sterylnie, nawet estetycznie.

Słowa kluczowe: mieszkanie, miasto, społeczeństwo

A b s t r a c t

Many of us identify dwelling in a city with life in the city. Dwelling signifies having a flat, yet in many cases it means only renting or using a small living space attached to the infrastructure of the urban media. All of services are standardized, categorized, evaluated, assessed and ultimately put up for sale, for rent, or just for "recharging" our resources. You live provided that you pay; if you cannot afford to pay – you have to get out. Everything is just, democratic, sterile and even aesthetic.

Keywords: siving, city, society

* Dr inż. arch. Małgorzata Mizia, Instytut Projektowania Urbanistycznego, Wydział Architektury, Politechnika Krakowska.

BIBLIOTEKA CYFROWA POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ

Prawdziwe miasto to twór historyczno-geologiczny – przetrwalnik zawierający w swoim kodzie genetycznym wszelkie informacje gotowe do proliferacji i rozwoju, to sztuczna struktura, stanowiąca dziś produkt samowystarczalny. Współczesne miasto to megastruktura uprawiająca swój proceder biorecyklingu w celu rozwoju własnego kosmicznego żywokrystu. Oferuje blichtr luksusu, błyskotliwość reklam, wzbogaconą karmę elitarnej kultury i sztuki, pozorną wygodę codzienności, za które, jak Mefisto, pobiera opłatę najwyższą – duszę. Kontrakt z nim na przeżycie opiewa zastaw najważniejszych własności: absolutne posłuszeństwo, napędzanie miejskiej turbiny w bezwarunkowo narzuconym rytmie i tempie, wyzbycie własnego „ja". Miasto to „my" – ułudna wspólnota budująca dobrobyt na debetowym koncie społecznym. Tylko najmocniejsi i najbardziej bezwzględni są w stanie wyrwać satysfakcjonującą porcję dóbr do godziwego życia.

Miasto to urbanistyczna organizacja wartościująca swoich twórców według zasług i energetycznej przydatności. Składa się z dzielnic dobrobytu oraz skansenów biedy i robactwa, standardów, oraz wartości specjalnie poszukiwanych.

Zazwyczaj najbardziej poszukiwanymi są wartości skrajne: zarówno wygodne i złudnie bezpieczne kondominia, jak i skanseny historii i kultury materialnej, będące w stałym użyciu od dziesiątków lat, zamieszkałe najczęściej przez biedotę – jak w Neapolu, i dziedziczone przez naturalnych spadkobierców. Stare, brudne centra, zazwyczaj najatrakcyjniejsze, są nawarstwioną strukturą urbanistyczną, pełną pamiątek, zaułków, ornamentów, śladów historii, śladów rozmaitych zdarzeń ważnych i mało ważnych, ale prawdziwych. Mało się myśli o ludziach, przypisanych miejscu i napiętnowanych huśtawką losu, zasiedziałych z dziada pradziada, o mieszkańcach tych zatęchłych zakamarków starych śródmieść miast historycznych. Nikt się nie troszczy o nory pozbawione znamion współczesnego komfortu, nie spełniające norm cywilizacyjnych i budowlanych, przynajmniej dopóki nie pojawi się perspektywa marketingowych walorów do wykorzystania.

Najbardziej malownicza i inspirująca, zwłaszcza z bezpiecznej perspektywy, jest bieda i żądza walki. Jak w Neapolu. Biedota nie zna innego życia, ale i wartości pieniądza. Nie ma identyfikatorów i aktów własności, ale i absolutnej wolności. Bo też wolność miejska nie może być absolutna. A właśnie zasiedziali żywiciele miasta rodzą się w jego najstarszych i najgłębszych warstwach geologicznych, żerują w najbliższych śmietnikach na obrzeżach ogrodzonych kondominiów, wydają następców i zasiadają na przyzbach, na połamanych krzesłach obok wywalczonych w młodości slumsów i patrzą na efekt tego *perpetuum mobile* zanim powykręcani cywilizacyjną chorobą oddadzą ostatnie tchnienie – bez śladu. Ale nieoczekiwanie czują się wolni, nie mając nic lub prawie nic do stracenia, chociaż też nie znają nic poza własnym gettem. Są zdegenerowani, ale inni i kolorowi.

Nieco „lepiej", bo higieniczniej i przestronniej, żyje się w średnich warstwach geologicznych miasta. Tu mieszka główna masa żywicieli; to sfera, gdzie wszystkie wartości wywalczone czy kupione i tak okazują się na koniec mierną zdobyczą.

Najwygodniej mieszka się na dachach – im wyżej, tym drożej, bezpieczniej, z dalszym widokiem i poczuciem panowania nad wszystkim. Tu nie trzeba się martwić o codzienność, chyba… że zaczną doskwierać sentymenty, które sprowokują zastanowienie się nad sensem istnienia. Ale to już jest nieprzystojny dowód słabości.

Żyć w mieście – oznacza poddać się wynaturzeniu.

Wynaturzeniu, bo w mieście żyje się z daleka od natury, w środowisku ucywilizowanym, całkowicie sztucznym. Im dłużej trwa miejska cywilizacja, tym bardziej się oddala od przyrody. W mieście nawet drzewa w parkach, choć naturalnie żywe, są specjalnie sadzone, zaprawione odpowiednimi „uszlachetniaczami" i nawozami, szczepione, sztucznie hodowane, aby mogły przetrzymać trudne warunki w zatrutym, zadymionym i niezwykle wymagającym środowisku miejskim. Autentyczne relikty przyrodnicze – naturalne areały leśne otoczone miastem i wchłonięte przez urbanizację, zazwyczaj niewłaściwie użytkowane chorują, ulegają powolnej degradacji, systematycznej selekcji gatunków co delikatniejszych, w końcu przemożna presja inwestycyjna zawłaszcza sobie zdegradowane i okaleczone tereny pod kolejne inwesty-

BIBLIOTEKA CYFROWA POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ

cje. Ekspansja miasta wydaje się nie mieć granic. Bieżące potrzeby człowieka – mieszkańca urbanizacji – są socjologicznie priorytetowe. Zmieniają się równolegle z rozwojem cywilizacji, która powoli degraduje naturę.

Działania ekologiczne i proekologiczne jako niespieszny odzew na nieodwracalne zmiany cywilizacyjne wydają się być w tym kontekście tylko zachowawcze. W końcu badania nad sztuczną inteligencją, a równolegle genetyką, zaszły tak daleko, że można się spodziewać odejścia w ogóle od tradycyjnego pojęcia człowieczeństwa.

Jako ludzie jesteśmy niezwykle niedoskonali. Nieprzystosowani, chorowici, nieodporni, wyniszczający się wzajemnie aż do zubożenia gatunku, nieprecyzyjni, wręcz nieprzydatni w pracy nad dalszym niezwykle zaawansowanym rozwojem. A wszystkiemu temu sprzyja życie w mieście, w ogromnym nagromadzeniu, stłoczeniu, zanieczyszczeniu, nierówności społecznej itd.

A miasta wciąż rosną we wszystkich kierunkach, również w górę i w dół. Ze zgrozą patrzymy na Manhattan, chociaż dumą napawają osiągnięcia geniuszu człowieka – architektura. A właściwie inżynieria i konstrukcje, bo z urodą i humanistyką architektury mają coraz mniej wspólnego.

Dzisiejszy architekt nie ma czasu na sentymenty, musi zdobywać kolejne zlecenia, aby utrzymać się na rynku, utrzymać biuro, w celu najkorzystniejszych zoptymalizowanych parametrów osiągnięć, najlepszych notowań w rankingu, dla satysfakcji przemożnych inwestorów. Swoją wrażliwość artysty poddał całkowicie dominacji pieniądza lub przynajmniej wymierności. Jeśli bowiem wartości projektowe dają się opisać słowami, miarami i cyframi, to jego architektura jest prawdziwa i znacząca – takie jest przekonanie. Mało kto chce tracić cenny czas na rozwarstwianie aspektów urody architektonicznej, przecież dzisiaj nawet dla rodziny i przyjaciół brakuje czasu i cierpliwości.

Mimo to chcę żyć w mieście, bo tu tętni życie, kwitnie kultura, namacalnie postępuje cywilizacja, bo mam ofertę równoległych dróg życia do wyboru i to nie ruszając się z miejsca. Miasto to również fabryka dóbr materialnych, myśli na sprzedaż, bo liczą się głównie odkrycia napędzające tryby machiny, myśli niezależne co najwyżej toleruje się w celu uspokojenia gorących głów. Oczywiście wspólnota zobowiązuje, ale czy wolno żądać całkowitego poświęcenia dla iluzorycznego „dobra ogółu", nie oferując nic w zamian? Literalnie nic, bo wszystkie sztuczne dobra mają swoją cenę sprzedaży, nawet jeśli jest to widok na niebo lub śpiew słowika. Jeśli będę dość przydatny machinie – będę miał czym płacić, a życie będzie bardziej urozmaicone, jeśli nie – trudno – jak pościelisz, tak śpisz.

Ta „przydatność" nie ma nic wspólnego z moralnością, może być równie dobrze ujęta w kodeksie karnym jako działalność kryminalna podlegająca karze, może nawet chodzi właśnie o to, aby się zatracić i zgubić granicę przyzwoitości, to dobra motywacja napędzająca machinę. Machina jest bezduszna, bezosobowa, musi pracować bezwarunkowo, bo wyłamanie jednego zęba unieruchamia tryby, powodując efekt domina pogrążający cały sztuczny organizm w chaosie. Niekontrolowany chaos prowadzi do zagłady.

To wystarczająca presja pobudzająca do bezwarunkowej pracy w tym systemie wzajemnych współzależności.

W mieście nie ma nic „naturalnego". Naturalne mogą być działania intuicyjne dziecka, ale dziecko miejskie wynaturzane jest coraz wcześniej, aby jak najszybciej mogło zasilić szeregi robotnic tej mrówczej społeczności. Wytworzonych wspólnie dóbr pożądamy jak wody, nakręcani centralnie sterowaną reklamą, ale też właśnie zagrożenie utratą źródła tej życiodajnej wody jest w stanie utrzymać nas w całkowitym posłuszeństwie. Piętnujemy i sami ukierunkowujemy działania innych, własnoręcznie rozprawiamy się z niepokornymi, by tylko utrzymać nasz miejski świat w „zrównoważonym" *status quo*.

Te same prawidła działają w świecie architektury. To ona warunkuje nasz byt całkowicie, otacza, więzi, ukierunkowuje, uczy, poskramia i grzebie.

Przywołując wykład profesora z Udine, Alberto Pratellego, na temat bolońskich portyków, trzeba przytoczyć jego stwierdzenie, że architektura powinna być nieokreślona, bez początku i końca, bez definicji, bez stylu, ani stara ani nowa, bez symetrii, bez rozbicia na urbanistykę i architekturę, dająca jedynie przestrzeń wspólną: ani zewnętrzną ani wewnętrzną, bo będąc na zewnątrz domu i tak jesteśmy wewnątrz

BIBLIOTEKA CYFROWA POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ

miasta. Stąd też nie tyle chodzi o portyki, ile o arkady, o nieskończone ciągi arkad – przejść wyznaczonych i limitujących poruszanie się jak w labiryncie, z rzadka z oknem jakiegoś widoku. Taka jest Bolonia. Cała architektura Bolonii podporządkowana jest ciągom pieszym. Arkadowe przejścia prowadzą nawet przez nawy boczne katedry, wyprowadzając pieszych na plac lub ulicę. Tam gdzie kończy się jedno arkadowe przejście, natychmiast zaczyna się inne, na które nakierowuje choćby rysunek posadzki. Jeśli potrzebne są węzły komunikacji pieszej, to arkady pną się piętrami w różnych kierunkach do różnych ważnych miejsc – równie antycznych jak całe miasto. Ta urbanistyka życia miejskiego tworzona architekturą prowadzi w końcu do Miasta Umarłych, gdzie po przekroczeniu Bramy Płaczu kończy się życie – sekwencją kontynuujących się przestrzeni – wnętrz utworzonych architekturą spiętrzonych grobowców, przestrzeni obudowanych pałacami spokoju. Tymi portykami ścieżek idziemy przez całe życie, do końca z towarzyszeniem urbanistyki i architektury.

Zniewolenie architekturą odreagowujemy, udając się na wypady „za miasto", na wakacje, w ostępy, w góry, w przestworza, do lasu…, ale niebawem wracamy, bo nie przywykliśmy do braku „komfortu", nie wytrzymujemy dłużej drapieżności dzikiej natury.

Ale czy potrafimy żyć w mieście?

Żyć to znaczy przeżywać, odczuwać, uczyć, szaleć, dojrzewać i dawać. W jakim stopniu miasto nam to ułatwia, a jak dalece uniemożliwia?

Pozornie życie w mieście jest łatwiejsze, wygodniejsze. Pozornie, bo koszt jest ogromny: oddanie własności pod dozór, administrację, rejestrację, ewidencję, dobrowolne ubezwłasnowolnienie w wielu zakresach swobód naturalnie nam przyrodzonych, choćby ograniczenie wychowaniem, kształceniem, pracą zarobkową, przynależnością do rozmaitych zgromadzeń i organizacji, terminami pracy i wypoczynku w sztucznie narzuconym rytmie i wymiarze, zrównaniem i uśrednieniem zachowań; bo przecież społeczność biura, „bloku", czy nawet apartamentowca, narzuca rygory zachowania, czasu, przyzwoitości, nawet zobowiązanie modą.

Życie miejskie to umiejętność bezwarunkowego wpasowania się w tysiące równoległych rytmów i racji. Całkowite posłuszeństwo, dostosowanie do mód i obligacji, nie tylko kanonów i etykiety. Dobrze wychowani, czyści i nienaganni jak dyplomaci, twardzi i bez rozmiękczających sentymentów, choć uprzedzająco uprzejmi i współczujący, obyci i wykształceni, przebojowi i asertywni, przemyślni i bezmyślni zarazem, jesteśmy idealnym tworzywem miasta. Mamy pełne prawo w nim żyć. Tylko…

…przecież i tak – choć nie chcę mieszkać w mieście – nie mogę bez niego żyć.

A real city is a historical-geological creation; it is a nucleus which contains in its genetic code all the information that is necessary for the proliferation and development; it is an artificial and self-sufficient product. The contemporary city is a mega-structure which practices its process of bio-recycling so as to enable the development of its cosmic living tissue. It offers the gloss of luxury, the glare of adverts, the enriched fodder of elitist culture and art, the apparent comfort of the everyday, for which, like Mephistopheles, it charges the highest price – namely that of the human soul. A contract with it for survival includes pawning the most vital values, namely: that of absolute obedience, powering the urban turbine in accordance with an unconditionally imposed rhythm and pace, as well as getting rid of one's own "self" – an illusive community building the common well-being on the debit social account. It is only the strongest and the most ruthless who are able to wrench out a satisfying portion of goods guaranteeing a decent level of survival.

BIBLIOTEKA CYFROWA POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ

A city is an urban organization that evaluates its creators in accordance with their merits and energetic usefulness. It consists of neighborhoods and reservoirs of poverty and dirt, standards and values which are particularly highly valued.

Usually, the most prized values are the ones which are the most extreme ones: both the comfortable and illusively safe condominiums and the reservoirs of history and material culture which have been in continual service for decades, being inherited by their natural heirs. These are the old and dirty city centers which are usually the most attractive ones, containing numerous layers of urban structure. In this context, one tends to disregard the people who are the natural settled inhabitants of these city-centers; the latter ones are stigmatized with the changes of fortune, but are nevertheless well-settled in these stale city corners.

These poor inhabitants often do not know any other life; they do not know the value of money. They have neither identity tags, property deeds nor even absolute freedom. The city does not allow absolute freedom.

The settled city bread-winners are born in the oldest and deepest geological city layers; they raven after food in the nearest rubbish dumps, on the outskirts of the fenced in condominiums; they beget their successors and sit out proudly outside on broken chairs won in the young days of the slums, surveying the effects of this perpetual motion machine, before, degenerated with the sickness of the civilized world, they give up their last breath without a trace. But quite unexpectedly, they feel free, without having anything or having next to nothing, although very often they do not know any other world outside heir ghetto. They are degenerated but different and colorful.

Life in the middle geological layers of the city is slightly "better" as it is cleaner and healthier. It is here that the bulk of city bread-winners live; it is a sphere where all values that have been fiercely fought for, purchased and dearly redeemed turn out in the end to be a futile gain which hardly ever suffices.

The most comfortable places to live in are those situated on roof-tops – the higher the more expensive. Here, one does not have to worry about everyday problems, unless…one succumbs to sentiments which make one wonder about the very sense of life. But this is already a proof of the weakening strength, and it tends to be a privilege of the lower classes.

To live in a city means to give in to denaturalization as living in a city means living far away from nature, in an environment which is civilized and totally artificial. In a city, even the trees in parks, though naturally alive, have been specially planted and artificially bred, so as to be able to survive in the difficult conditions of the polluted, and extremely demanding urban environment. The authentic natural relics – the natural wooded areas that surround the city and are soaked up by urbanization, are usually improperly used and therefore, are subjected to a process of gradual degradation, systematic eradication of the more delicate species and eventually they fall prey to the overwhelming pressure of investments which eventually swallow up the degraded and mutilated natural areas. The expansion of the city seems to have no boundaries. Man's current needs as an inhabitant of urban areas – are of primary importance from the sociological point of view. They change simultaneously with the development of our civilization which is gradually degrading nature.

In this context, the ecological and pro-ecological activities, seem to be rather conservative and perfunctory. Finally, research on artificial intelligence and parallelly, on genetics, have progressed so far that soon one may expect a total abandonment of the traditional concept of humanity.

As people, we are extremely imperfect. We are maladjusted, sickly, non-resistant and mutually hostile which leads to the gradual depletion and weakening of the human species; besides, we are imprecise and at times completely useless in continuing work on further growth. Whereas life in the city, amid immense congestion, pollution and social injustice seems to favor and promote all of the above-mentioned adverse factors.

And the cities continue to grow in all directions, including upwards and downwards. We are appalled looking at Manhattan, although at the same time, the achievements of man's genius – particularly

BIBLIOTEKA CYFROWA POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ

with regard to architecture, fill us with pride. And in fact, what makes the biggest impression on us are the feats of engineering and construction – for the new realizations seem to have less and less in common with the charm and humanity of architecture.

The modern-day architect has no time for sentiments; he has to fight for successive commissions in order to remain on the market and maintain his office; he has to do everything to ensure the most favorable, and optimal parameters of his achievements, to win the best possible ranking on the market of architectural services and in order to please the almighty investors. In the process of doing so, he has had to entirely subject his sensitivity as an artist to the domination of the finances. Even if it is not money, it is certainly what can be measured. Very few people are prepared to waste their valuable time on analyzing the various aspects of architectural beauty; after all, today, one does not even have time and patience for family and friends.

Yet, we do want to live in cities as here life seems more vibrant, culture flourishes and civilization is progressing tangibly; here we are offered a choice of parallel paths of life without having to move from one place. A city is also a factory of material goods, producing among others, thoughts for sale, as what counts is above all, discoveries which drive cogs in the machine; independent thoughts are at best tolerated so as to calm down the hot heads. All these goods have their own sale price, even if it is only a view of the sky, or a song of a nightingale. If I am sufficiently useful to the machine – life will be more varied, and if not – it can't be helped – as you make your bed, you must lie on it.

This "usefulness" has nothing to do with morality; it may just as well be presented in the penal code as a criminal activity which is subject to punishment.

The same laws operate in the world of architecture. Architecture conditions our life completely and totally; it surrounds and confines one; it gives direction, it teaches, curbs and buries one.

Recalling a lecture delivered by prof. Alberto Pratelli (Udine) on the Bologna porticos, one should remember his statement that architecture should remain undefined, without a beginning or end, without style; it should be neither old nor new, without symmetry, without a division into urban planning and architecture; all it should do is produce a common space: neither external nor internal, as being outside a house we are inside a city anyway. Hence, one cannot really speak of porticos either, but rather of infinite rows of arcades – passages that delineate and limit one's movement, as if in a maze, rarely with a window offering a view. Such exactly is Bologna. All of Bologna's architecture is subordinated to pedestrian passages. Arcaded passages criss-cross even the side aisles of cathedrals, guiding the pedestrians onto squares or streets. Where one arcaded passage finishes, there immediately begins another which is pointed out to if only by the layout of the tiles on the floor. If pedestrian communication knots are needed, then arcades climb up to upper floors in various directions, leading to various important places – equally ancient as the entire city. This urban layout of city life which is created by architecture, eventually leads one to the City of the Dead, where after passing the Gate of the Weeping one comes to the end of life – reaching a sequence of continuing spaces-interiors created by the architecture of multi-tiered graves, and spaces surrounded with the palaces of peace. We follow these porticos of paths throughout our entire life, in the company of urban planning and architecture.

Our natural reaction to the captivity of architecture is to set out on excursions "outside the city", on holidays, trips to the backwoods, into mountains, forests…but we soon return, as we are not used to lack of "comfort"; we cannot stand the rapacity of wild nature.

To live means to experience, feel, learn, be wild, mature and give. To what extent the city facilitates this and to what extent it makes it difficult for us?

At first glance, city life is easier and more convenient. But it is only at first glance as the cost is immense: handing over one's property for supervision, administration, voluntary interdiction in many areas of citizen's freedoms etc.

City life consists of an ability to become unconditionally adjusted to the thousands of its parallel rhythms and arguments. It means total obedience and adjustment to fashions and obligations and not only

BIBLIOTEKA CYFROWA POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ

to canons and etiquette. Well-bred, pure and immaculate as diplomats, hard and devoid of the softy-softy sentiments, although at times excessively kind and sympathetic, well-mannered and educated, assertive, cunning and at times thoughtless, we are an ideal medium of city life. We have every possible right to live there. But...

...although I do not want to live in the city – I cannot live without it.

BIBLIOTEKA CYFROWA POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ